

NINA ANDRYCZ - wspomina

Televizyjny sezon roku 1962 przyniósł mi dwie wyjątkowo interesujące propozycje. Z pierwszą - zupełnie oryginalną, bo nie mającą precedensu w Warszawie - zwróciły się do mnie Katowice. Telewizja Śląska zaplanowała bowiem ambitny cykl tzw. koncertów aktorskich. Miały one pokazywać wybitne osiągnięcia naszej czołowej aktorskiej widzimorze całego kraju. Zaproprowano mi więc, abym dała z katowickiego studia telewizji swojego pomysłu recital aktorski, inaugurując w ten sposób ów nowy cykl występów gościnnych na małym ekranie. W tym celu należało, oczywiście, rozstać się na kilka dni z Warszawą, zamieszkać w hotelu, pracować w nieznanych sobie warunkach, no i w pełni sił wrócić na czas do Teatru Polskiego, bez uszczerbku dla dalszych spektakli na macierzystej scenie. Wahalam się trochę... Pamiętam, że zasięgnęłam rady Karola Matcużyńskiego, czy aby warto na przełomie zimy wyruszać na Śląsk.

„Niech pani jedzie - odparł bez namysłu - telewizja to potęga”. - Z czegoż to pan wnioskuję? - zapy-

Pierwsze odcinki wspomnień Niny Andrycz zamieściliśmy w „Ekranie” nr 45 i 46 z br. Dzisiaj - ciąg dalszy.

w Katowicach. Następnie, na prawach kontrastu psychologicznego, zagrałam żonę bogatego farmera amerykańskiego nieszczęśliwie zakochaną w młodym paścierbie (doskonale Zygmunt Kęstowicz). Były to sceny na wskroś już charakterystyczne, wybrane z „Pożądania w cieniu więzów” laureata Nobla, O'Neilla - sztuki, która szła w Warszawie około stu razy. Na koniec recitalu ukazałam pełną lirycznej zadumy, ale i po bohater-sku zdeterminowaną, zwolenniczkę spiskowców hiszpańskich, Marianitę ze znanego poematu dramatycznego Garcii Lorki „Marłana Pineda”. W tym ostatnim fragmencie partnerowali mi Henryk Boukółowski i Jerzy Kaliszewski. Reżyserował telewizyjną całość Mieczysław Górkiwicz, a słowo wiążące i komentarz dał Juliusz Kydryński. Recital miał wielkie powodzenie i

Koncert w Katowicach i Konrad Swinarski w Warszawie



Z Zofią Melnyk w sztuce Lope de Vegi „Pies ogrodni-
ka”



W programie telewizyjnym, z okazji niedawnego jubileuszu

tałam. Odpowiedział mi, że pewnego wieczoru w całej Kalifornii raptem zabrakło wody w kranach, a jednocześnie gwałtownie wylały wszystkie zbiorniki kanalizacyjne. Okazało się, że kilka milionów ludzi tkwiło przed telewizorami oglądając jakiś kryminał, a kiedy nastąpiła nieoczekiwana minutowa przerwa w audycji, cały naród, jak jeden mąż, ruszył tam, gdzie królowie chadzali piechotą... I Kalifornia zadrała. To nie anegdota - ciągnął Pan Karol - lecz fakt. Czyli telewizja jest potęgą. Pośmiałyśmy się trochę i wkrótce wyjechałam do Katowic.

Władze regionalnego ośrodka przyjęły mnie serdecznie. Hotel był wygodny, a studio obszerne. Nazajutrz zjechało jeszcze dwóch kolegów, moich partnerów z warszawskich przedstawień: Zygmunt Kęstowicz i Henryk Boukółowski. Przywiozłam na Śląsk trzy duże fragmenty literatury światowej, oczywiście, zupełnie różne, ale na pewno godne upowszechnienia. Mój cykl otwierała tragiczna scena Młgorzaty w więzieniu z końca pierwszej części „Fausta” Goethego. Dotychczas nigdy jej nie grałam, a że tekst umiałam od dawna, więc odbyłam telewizyjną prapremierę

rzeczywiście dotarł i do domów górników, i w ogóle do najszer-szych warstw naszego społeczeństwa.

Oddajmy zatem głos Juliuszowi Kydryńskiemu, żeby nie wyglądało na to, iż sama się teraz upajam wspomnieniem wczorajszych zwycięstw. Kydryński tak pisał w „Ekranie”: „Prowadząc te audycje miałem sposobność podkreślić na czym, moim zdaniem, polega bogactwo sztuki aktorskiej Niny Andrycz, na czym polega siła jej fascynacji. Sądzę, że przede wszystkim na silnym uczuciowym zaangażowaniu się artystki w podawany tekst. Ale przy całym swym zaangażowaniu emocjonalnym Nina Andrycz zachowuje zawsze pełny szacunek dla intelektualnych treści utworu. Wyrażane uczucie nie ponosi jej, nie przeszkadza jej myśleć. Jest to bardzo charakterystyczny cech nowoczesnego aktorstwa europejskiego i nie na darmo nazywano Ninę Andrycz najbardziej europejską z naszych aktorek” („Ekran” - 27. maja 1962 r.). Wiele też miejsca na swoich szpalach poświęciła mojemu występowi gościnnemu w Katowicach i „Trybuna Robotnicza” o ówczesnym blisko półmilionowym nakładzie.

Dziennikarze ochoczo znosili ploteczki z miasta oceniające mój występ. Oto autentyczna wypowiedź tzw. szarego człowieka, którego zagarnięto na ulicy: „Pani Andrycz gra bardzo dobrze, ale najlepiej płacze, no, tak szczerze, jakby za otwartą trumną najbliższej sobie osoby szła”. Przy kawie, w przerwach nakręcania lub w hotelu, w restauracji, dziennikarze rozprawiali na temat telewizji... Twierdzili, że dopiero ona, telewizja, a nie film, potrafi każdego dobrego aktora uczynić nie tylko idolem Warszawy lub Krakowa, ale i mieszkańców całego kraju, bliskim znajomym i wieczornym gościem nieomal w każdym polskim domu. Chodzi tu zarówno o ludzi bardzo wykształconych, jak i tych, którzy dopiero zaczęli zawierać znajomość z dotychczas nie znanym im światem rozległych i trapiących przeżyć i problemów kulturowych. A więc

najbardziej masowy, do kilku milionów adresowany, teatr nie musi i nie powinien być ani wulgarny, ani narzucający się, skoro jest jednocześnie „teatrem domowym” - ba, prawie dworskim - co drugiego lub trzeciego Polaka.

Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wróciłam więc ze Śląska do grania na deskach umiłowanego Teatru Polskiego. Żyłam nadal w dramatycznym klimacie „Pożądania” i „Mariany Pinedy”, kiedy wczesną jesienią tegoż 1962 roku otrzymałam już z warszawskiej telewizji naprawdę fascynującą wiadomość. Konrad Swinarski obsadził mnie w roli hrabiny Diany de Belflor, w komedii Lope de Vegi „Pies ogrodnika”. Więc nareszcie postać komediowa i najwyższej miary reżyser, o którym było już głośno w całej teatralnej Polsce. Wkrótce Swinarski bardzo kulturalnie powiadomił mnie, że nie

chciałby skreślać roli hrabiny Diany beze mnie, jako że skracać trzeba, aby się zmieścić w granicach telewizyjnego czasu. Spotkaliśmy się więc po raz pierwszy u mnie, przy kawie. Była to wstępna rozmowa, podczas której Swinarski ujął mnie od razu swą wielką kulturą, swoistym wdziękiem i poczuciem humoru. Co do charakteru, ilości i umiejscowienia owych potrzebnych cięć czy też poprawek w wielostopnym tekście sztuki - porozumieliśmy się nadzwyczaj łatwo i szybko. Tak powstał telewizyjny scenariusz „Psa”. Próby odbywały się w tym samym, nieprawdopodobnie ciasnym studiu przy Placu Powstańców 7, o którym już wspominałam, a o którym do tej pory myślę z rozczuleniem. Wszyscy bowiem mieliśmy mnóstwo kłopotów i niewygód, w trakcie przygotowywania i grania „na żywo” tej pełnej ruchu i istic hiszpańskiego

temperamentu premiery. Ale nastrój święta w nas trwał. Odbывwała się jakaś wspaniała i bezkrwawa corrida. Trzeba wiedzieć, że wtedy na poniedziałkowe spektakle TV czekano. Tym bardziej gdy reżyserował Konrad Swinarski. Reżyser pozostawił mi dużą swobodę co do aktorskiej interpretacji nieco zwariowanej hrabiny. Pisałam już na ten temat przed laty dla pisma „Teatr”. Pozwolę sobie zacytować stamtąd kilka uwag.

Swinarski mówił: „Tekst podaje Pani dobrze, ale dlaczego ładna twarz hrabiny tak często... krzywi się? Myślę, że wynika to z pewnej nadrucliwości czoła i policzków. One, to jest mięśnie, jak gorliwi uczniowie, pierwsi lecą do tablicy, żeby zademonstrować gotowość, rezultat. A przecież to dopiero siódma próba. Ma Pani czas. Proszę się rozluźnić”. Zaryzykowałam pytanie: „A Pan, panie Konradzie, choć to dopiero siódma próba, też jest napięty jak struna... Co Pan robi, żeby się rozluźnić?” – „Piję koniak po kryjomu” – odrzekł i roześmiał się, jak młody chłopak.

W próbach sytuacyjnych, już bliżej premiery, powiedział mi: „Trzymanie głowy – wielkopańskie, dobre maniery, grandezza – owszem, ale jest Pani jeszcze trochę za serio, posagowa, no, „ze Stuartów rodu”. Jutro spróbujemy inaczej”.

„dzie, ja nie mogę”. „Może pani”. – „Naczelnym (Hanuszkiewicz) przestrzegano niedawno, że telewizję oglądają dzieci i księża...” – „Dzieci nie rozumieją, a dorosłym będzie bardzo miło”. W rezultacie dekollet „zagrał”, a Teodor – Zaczyk – szczęśliwie posłubił hrabinę.

Spektakl Swinarskiego był niezwykle jednolity stylistycznie, radosny, młody, pełen humoru. Bajeczne toalety hrabiny skomponowała Xymena Zaniewska, a uszyła niezastąpiona Oleńka Kurjata. Pani Zofii Nasierowskiej chciało się przyjechać z aparatem do studia, aby tam zrobić na gorąco piękne fotosy utrwalające pracę Swinarskiego. Jaka szkoda, że zapomniała no takiego obyczaju. Zbigniew Mitzner napisał, że nie powinnam na długo rozstawać się z klimatem dobrej komedii, ponieważ służy on i mnie, i widzom. Na szczęście niebawem udało się zrealizować tę sugestię. Zagrałam powtórnie „Psa ogrodnika”, ale już na dużej scenie Teatru Polskiego. Oczywiście w innej obsadzie i w innej scenografii ale pamiętając wszystkie wskazówki Swinarskiego. Grałam ten spektakl przez trzy lata. Z tego widać, jaki wpływ wywierał wówczas i na aktorów, i na odbiorców ich sztuki poniedziałkowy teatr telewizji.

Kiedy mnie dziś pytają, co jest największą bołączką XI Muzy, od-



Z Ignacym Gogolewskim w „Pannie bez posagu” Aleksandra Ostrowskiego

Powtórzyłam więc tekst przed próbą sumiennie akcentując momenty komediowe, ale to się okazało niepotrzebne. Swinarski przyniósł nazajutrz małego, białego, wielce rasowego pieska i oznajmił mi, że to jest ulubieniec Diany, z którym ona się nie rozstaje. Spojrzałam na ulubieńca bez entuzjazmu... „Prawda, jaki śliczny – kontynuował pan Konrad, niechże pani weźmie go na ręce i otuli swoim koronkowym szalem”. Na ostatniej kamerowej próbie pieseczek stęskniony za swoją prawdziwą panią, zdążył mnie już szczerze zniechęcić... Warczał, drapał i szarpał koronki wspaniałego kostiumu. Uspokajając i tuląc pieseczka zgubiłam do reszty dramatyczną posagowość. Biegałam jak furia po całym studiu zamienionym przez panią Xymenę Zaniewską w pałac hrabiów De Belflor, goniłam swego sekretarza, Teodora, czyli Stanisława Zaczyka, prześladowałam damę dworu, Zofię Małynicz i wymyślałam chytremu studze – Janowi Kobuszewskiemu. Swinarski z uśmiechem obserwował nasze gonitwy w monitorze. W pewnej chwili szepnął mi: „Kiedy hrabina Diana wyznaje przy klęczniku swoje grzechy – zastania pani piersi rękami: Otóż ja radzę cofnąć ręce i zademonstrować niebu dekollet, a będzie pani rozgrzeszona”. – „Ależ panie Konra-



Recital w Katowicach. Nina Andrycz w roli Małgorzaty z „Fausta” Goethego

powiadam: po pierwsze – nieustająca reorganizacja i rozstawanie się z ludźmi, którzy ten teatr tworzyli, a po drugie – brak wybitnych indywidualności reżyserskich, mogących udźwignąć wielki repertuar, polski dramat romantyczny, a nie tylko mniej czy więcej efektowne bulwarówki. I żal mi, że już nie zdążyliśmy zrealizować Calderona, którego zaplanował dla mnie Konrad Swinarski (cdn.)

Fot.
FRANCISZEK MYSZKOWSKI
I EDWARD HARTWIG